T. T. Jeż

Latarnica
Nowela psychologiczna

garmond
na całą szerokość
kolumny.

# Łatawica

Nowelka psychologiczna

~~T. T. Jeż~~

petit

W karczmie brzękły skrzypki, basy;
Wiejskie dziewki aż drżą za tem.
Wolałbym w wieczne czasy
Uciec po za góry, lasy,
Niż pląsać…

Włodz. Wolski.

Od razu to złożyć
na początku.

Jeż

# Latawica

## Nowelka psychologiczna

---

T. T. Jeż.

---

W karczmie brzęczą skrzypki, basy;
Mnie, choć dziewki aż drżą za tém.
Wolałabym w wieczne czasy
Uciec po za góry, lasy,
Niż pląsać......

Włodz. Wolski

Zdarzyło się jej to niespodzianie. Sama w stanie nie była pojąć, jak to się stać mogło.

Wydoiła Siwą i podeszła do Murgi. Dotąd to się wszystko w porządku. Krzyś puścił cielę; ona stanęła, skopiec postawiła, czekała aż żeby cielę zessało i krowa mleko przypuściła, i — jak stanęła, tak przestała Bóg wie czasu ile. Przestała czasu tyle, że cielę nie tylko krowę do ostatniej wyssało kropelki, ale także do ostatniej kropelki wypiło mleko ze skopca. Opiło się i zbytkować poczęło. Odskakiwało, przyskakiwało, łbem dziewczynie pod ziobro szturchało i dopiero się ona, niby ze snu, ocknęła.

— O!... hej!... — zawołała.

Do skopca — skopiec próżny; do dójek — dójki próżne.

— Główeńko moja biedna!... — jęknęła.

Zrazu nie rozumiała co, następnie zrozumieć nie mogła, jak to się zrobiło.

Coś ja opętało. Zapomniała się. No — tak, ale — dla czego?... dla czego?...

Dziewczętom w jej wieku — ileż to lat ma, czy nie dwadzieścia — zdarza się, że się zapominają, ale zdarza się to dla jakiejś przyczyny, z której sobie sprawę zdać umieją. Przyczyną bywa niezmiennie "dumka", co się do głowy wkrada i ogłusza, oślepia, zmienia, udręcza, skamie-

nia, mektając i świdrując pod sercem. Do głowy się wkrada i pod serce wlazi. Napada. Od napaści nie zawsze obronić się można zwłaszcza, jeżeli przychodzi znienacka. To rzecz wiadoma, jak również wiadoma jest rzecz, co się wkradła. To lub owo; niekiedy zaś, bodaj czy nie częściej, ten lub ów bywa przedmiotem zadumania, opanowującego całą istotę dziewczęcą i sprowadzającego zapomnienie o wszystkiem innem zresztą. Kiedy napaść podobna zdarzy się, naprzykład, przy zamiataniu chaty, dziewczyna z wiennikiem w ręku staje, niby zmartwiała, i stoi, stoi, aż nagle opamiętuje się, "cur na niego!" wykrzyka i do roboty się bierze. Wypadki takie zdarzają się przy pieleniu ogrodu, przy karmieniu kur, przy gotowaniu strawy. Ileż to z tego powodu bywa barszczów, polewek, kasz niedosolonych albo, co gorzej, przesolonych! Powód jednak znanym jest dziewczynie. Wie ona, co się wkradło i, gdy zapomnienie połajankę albo i bicie na nią ściąga, tę ma przynajmniej pociechę, że w sumieniu własnem znajduje usprawiedliwienie. Ma na co odpowiedzialność dla ulżenia serca zwalić.

— Cur na niego!...

Ot i pociecha.

Pociecha ta służyć nie mogła Ksenii. Nie wiedziała, co ją napadło i sprowadziło wypadek

nia.

taki, o którym w życiu swojem nigdy nie słyszała, nadzwyczajny i okropny. Co to — od udoju wracać ze skopcem próżnym!.. Rzecz nie widziana i nie słyszana — i szkoda i wstyd. Czarom właściwym nie wierzyła, wierzyć jednak musiała a tylko — ulegając tej wrodzonej w naturze ludzkiej skłonności, dowiadywania się o przyczyny zdarzeń — zwróciła się do Hrycia z zapytaniem:

— Widzisz?..

— Widzę... — odrzekł chłopak, oczy ze zdziwienia szeroko otwierając.

— A co!..

— No... cóż?.. Ciele mleko wypiło...

— Tyś je puścił... — rzekła tonem, w którym brzmiał żal, brzmiała wymówka, brzmiało szukanie przyczyny, która to fatalne sprowadziła następstwo.

— Puściłem... jakże... — odparł Hryć. Tyś sama wychodziła i do Maryi przystąpiła..

— Przystąpiłam... — westchnęła i wraz z westchnieniem z ust jej wypłynęły wyrazy: — i przystąpiło do mnie...

Cóż do niej przystąpiło?

"Oto pytanie!.." — jak się wyraża Trembecki, tłumacząc Szekspira.

Oto pytanie!

Ksenia nic sobie nie miała do wyrzucenia pod tym względem, pod którym dziewczętom jej rówiesnym dużo do zarzucenia bywa, ponieważ, iż po-

żony przeciwko niej świadczyły. O i jak świadczyły!... Nie ciągle jednak. Zwykle była ona roboczą i pamiętną, nie zérkliwą i nie ciekawą rozhoworów przy studni. Ale przystępowała do niej. Od dzieciństwa zasłuchiwała się i zapominała. W niedzielę i we święta ~~zapierowa-~~ nie dozna-



wała też, co poeta w odniesieniu do jej rówieśnic zaznaczył, że, gdy: "W karczmie zagrzmią skrzypki, basy, — wszystkie dziewki aż drżą za tém". Jej owo drżenie nie chwytało. Kiedy i inne, zwabiane grzmieniem w karczmie, do gromady zbiegały, ona się wyosobniała i gdzieś się raz na dłużéj, znów na krócéj zapodziewała. Niekiedy do karczmy szła, bez téj jednak ochoty, co się drżeniem tłumaczy a ma swój wyraz w stroju odświętnym. Szła w odzieży codziennej pomimo, że jej na odświętnéj nie brakło. Poszła, chwilę postała, popatrzyła, posłuchała i z wyrazem w oczach, mówiącym: "To nie to" — odchodziła.

Powtórzyło się to raz i drugi. Matka też do ser-ca nie wzięła. Za którymś atoli razem, gdy Ksenia próżnym powróciła wieczorem, uważała za potrzebne zaczepić ją pytaniem:

— Gdzieś latała?...

— Na muzyki... — odpaliła.

Matka ją wejrzeniem od stóp do głowy obrzuciła i rzekła:

— Kłamiesz...

Zdarzyło się razy parę, że gdy jej w chacie nie było podczas, kiedy z przed karczmy rozlegały się po wsi hopaki i tropaki, matka jej zapotrzebowała, posłała po nią i posłaniec powracał z oznajmieniem, że jej tam nie ma.

— Gdzież jest ona dziewa?...
Posłaniec odpowiadał wzruszeniem ramion.

Powtórzyło się to raz i drugi. Matka też do serca nie wzięła. Za którymś atoli razem, gdy Ksenia późnym powróciła wieczorem, uważała za potrzebne zaczepić ją pytaniem:

— Gdzieś ty latała?...

— Na muzyki... — odpaliła.

Matka ją wejrzeniem od stóp do głowy obmierzyła i rzekła:

— Kłamiesz...

Kłamstwo i w oczy rzucało. Dziewczyna do karczmy stroiła się — ona miała na sobie koszulę zgrzebną, zapaskę codzienną, nawet tyle, co w dzień powszedni; dziewczęta z karczmy wracają zziajane i spocone — na niej potu nie było śladu. Na zarzut kłamstwa nic nie odpowiedziała. Matka dodała:

— Posyłałam przecie Hrynia po ciebie i Hryń powiada, że cię nie widział...

— A... bom ja nie tańcowała...

5a Matka zamilkła. Z tej racji, z jakiej zamilkła Hrybycha, zamilkłaby w razie podobnym każda z najwyższej sfery społecznej matka. Odpowiedź Kseni tyczyła się tej smutnej dla panieńskiego stanu na zabawach tańcujących sytuacji, którą określa malowniczo wyrażenie: skrobania pietruszki. Zdziwiła ona Hrybychę bardzo, bardzo swoją dziewczyną.

Wina chłopców przedstawiała się jej w sposób następujący: "Czego Kseni brak? — urody może?... Któraż jej, co do urody, sprosta we wsi dziewczyna?... Wiana może?... Ehe!... jednej tylko kurnosej Frasyni, gdy dorośnie, dostanie się siedem morgów, ale nie wiadomo, czy się jej dostanie krowa, byczek, dwie owieczki, łoszka, trzy kury z kogutem, dwie poduszki twarde jak kamień,

Kłamstwo i w oczy rzucało. Dziewczęta do karczmy stroją się — ona miała na sobie koszulę zgrzebną, zapaskę codzienną, zamysła tyle, co w dzień powszedni; dziewczęta z karczmy wracają zziajane i spocone — na niej potu nie było śladu. Na razie kłamstwu nie odpowiedziała. Matka dodała:

a to z dwóch powodów, wypływających ze dwoma następującemi zapytaniami: dla czego się Ksenia na muzyki nie stroi? — dla czego się chłopcy do niej nie zalecają? Zapytania te oświdrowały się kobiecie w mózg i, kiedy rozmyślała nad jednem, przypisywała winę chłopcom, — kiedy zaś rozmyślała nad drugiem, obwiniała swoją dziewczynę.

Wina chłopców przedstawiała się jej w sposób następujący: "Czego Kseni brak? — urody może?... Któraż jej, co do urody, sprosta we wsi dziewczyna?... Wiana może?... Ehe!... jednej tylko kurnosej Fraszyni, gdy dorośnie, dostanie się siedem morgów, ale nie wiadomo, czy się jej dostanie krowa, byczek, dwie owieczki, loszka, trzy kury z kogutem, dwie poduszki twarde jak kamień,

6.

~~świta~~ biała świta, żółte buty, pełna bodnia bielizny, półsetek płótna bielonego, rzemików sieć i rzemyczko dobrane. Ludzie o tem wiedzą. + Czemuż i chłopcy nie zalecają się? +

Co i wiano było, Hrybycha — przypuszczać należy — nie nie dodawała i nie nie wyjmowała. Ksenia była, w rzeczy samej, jedną z najlepszych we wsi partyj. Hryb, gospodarz zamożny i stateczny, uchodził za bogacza, którego mienie się rozdrobni i pomiędzy spadkobiercami, ponieważ miał tylko dwoje dzieci: dziewczynę dorosłą i chłopca dorastającego. Ten ostatni uważany był, jako przyszły właściciel chaty, obejścia, żywego i martwego inwentarza, sprzętów domowych i połowy gruntu, to zaś, co wydzielano Kseni, starczyło na założenie dostatniego gniazda gospodarskiego tem bardziej, że podejrzewano Hryba o składanie grosza. Nie wiedziano jeno, gdzie takowy chowa: za obrazem, w bodni, czy też w łonie matki ziemi, tym pierwotnym banku, który wprawdzie procentów nie udziela, ale lepiej aniżeli niejeden nawet zabezpiecza, nie ma bowiem zwyczaju bankrutowania. Obrachowywano Hryba — o! bo włościanie rachują, na palcach wprawdzie, nie mniej jednak ~~pilnie~~ i niekiedy dokładnie — na jakich dziesięć, jeżeli nie tysiąc rubli. Wartość grosza jest względną; zależy od sfery społecznej: w oczach chłopa znaczenie rubla potęguje się do tego stopnia, że dziewczyna na wydaniu, mająca sto rubli posagu, idzie w oczach kawalerów na równi z panną, zagrożoną wianem stotysięcznem. Ksenia przeto była partyją takową i Hrybycha stu-

szmi dziwota się, że się do niej parobcy nie garną. Słusznie i im dziwota i słusznie do niej o to pretensję rościła.

Mniej może słuszną była pretensja jej, wychodząca z pewnych względów Kseni. Względy Kseni wydawać się mogły inaczej matce, inaczej ludziom. Mówiąc po sprawiedliwości, we względzie tym nie było dziewczynie nic mania do zarzucenia. Lica miała gładkie i rumiane, usta karminowe, zęby równe, białe i mocne, oczy barwy szafirowej a ciekawe, kosy „z dostatkiem włosów", uśmiech ponętny, wzrost szykowny — rzeźbiarzowi czy malarzowi nadawałaby się na model, gdyby ją widzieli moczącą konopie, albo wychodzącą z kąpieli, albo piorącą chusty, albo powracającą od krynicy z wiadrami na koromyśle. Tak jak ona wyglądać musiały czasu onego nimfy, które faunowie ścigali po łąkach i lasach. Z tem wszystkiem — _de gustibus non disputandum_. Kseni względy nie przypadały (=dały) może do gustu młodzieży Skałek. Trzymała się ona od niej zdaleka i Hrybycha miała o to żal do parobków.

Miała jednak żal i do Kseni, żal, którego wypowiadać nie śmiała z powodu, że się sama w znacznej części do winy poczuwała. Jako matka, poczuwała się do obowiązku nauczania córki; nauczała jej też wszystkiego, co do gospodarstwa należy i poważenia ludzkiego zapewnia; w naukach trzymała się ściśle skazówek dziesięciorga Bożego przykazania i dodatkowo, z przejęciem mocnym, ostrzegała ją

przed chłopcami. W tym ostatnim względzie była surową; przerabiając na rozmaite sposoby znany sobie wiersz Mickiewicza: "Słowicze dźwięki w miękkim głosie, a w sercu lisie zamiary", zamiary chłopców malowała córce barwami jaknajczarniejszemi, ilustrowała je w życiu doczesném swojém, w przykładami niezaprzeczonemi wielkiemi i całych dokładała usiłowań, ażeby ją od takowych odstraszyć! Obecnie zapytała sama siebie: czy nie przekolorowała? — czy nie odstraszyła Ksenii zanadto? Bo i skądżeby się w niej inaczej wziąć mogła wyraźna w obec młodzieży płci odmiennej obojętność!? Nie tańcowała, bo jej do tańca nie brano — nie brano dla tego, że się jawiła na mazurki wodzieży dnia poprzedniego. "Hm? — hm?..." — pomrukiwała matka i sama sobie za złe brała, że córkę za zbyt wyuczyła.

— Pojętna, bo pojętna... — mówiła do siebie, myśląc o Kseni — ale, co za wiele, to za wiele...

Wzdychała i przemyśliwała, jakby temu zaradzić. Zadanie to nie było do rozwiązania łatwe. Bo i jakże? — czyż powiedzieć miała, że nauki, tyczące i wystrzegania "lisich zamiarów", były to żarty? Tego ona dopuścić się nie mogła dla tej racji, ażeby z odwołania tamtego znaczenia nie wyszło jakie, broń Boże, nieszczęście. Aniby przesada w ostrożności zmieniła się w przesadę w ufności i narażała dziewczynę na padnięcie ofiarą któregoś z szubienników, na dziewczęta,

jak jastrzębie na kurczęta, czyhających!.. Miała siebie za kwoczkę, Ksenię za swoje kurczątko jedyne: nie mogła jednak odwoływać własnego zaczarowania dawniejszego, i powtarzanej ustawicznie przestrogi: "Nie bądź głupia!", wygłaszać w sensie wręcz przeciwnym. Miałoż jednak tak dłużej pozostawać? Do czegóż bo to szło? Dziewczynie, do której się słowa wady szyraty: "I bohata, i chorosza, i kto blame achne" — zagrała ta kosa siwa. Przemyśliwała nad tém Hrybycha, głową kiwała i ot co wymyśliła:

— Dopilnuję ja ją sama... Niech jeno boża nadejdzie niedziela...

Postanowienie to powzięła w tym właśnie dniu, kiedy się Kseni przytrafił opisany powyżej wypadek przy wydoju. Dzień tym była sobota. Dziewczyna, z bijącym z oblicza i z oczów przestrachem, weszła z obórki na podwórze i przed matką, wiejącą proso do stępór, postawiła dojnicę próżną.

— Co to?... — zapytała Hrybycha.

— Oj... głowuszka moja biedna!... — westchnęła Ksenia.

— Krowy nie przypuściły?...

— Ach! nie... nie to...

— Cóż?...

— Coś, mamo, do mnie przystąpiło... taj...

— No... — machnęła Hrybycha rzeszotem, z którego się wysypała resztka prosa, i dodała: — Idź do roboty swojej!... Krowom jeść daj!... Owce ja sama

już podoję!...

Z każdego jej wyrazu swoją tryskał gniew; każda zgłoska brzmiała, niby rąbiącą siekierą; wybuch hu-czał i wzrastał w głębi piersi, przemocą zdławiony. Myślała sobie jeszcze: „Przystąpić do niej... bez?... A no... przystąpić... Głupia dziewczyna... o! głupia!..."

Odnosiło się to do owego przeholowania w stosowaniu i do nauk, których córce udzielała w pojęciu obowiązku macierzyńskiego i za których bezwzględność obwiniała siebie samą. Gdyby nie to — o tożby i Ksenia z przyczyną miała!... Hrybychy dłoń świerzbiała. Pod przyzbą leżał patyk jakiś — spoglądała na niego, jak łakomiec spogląda na przysmak. Powstrzymała się jednak i uspokoiła. Dowiała proso, podoiła owce, wreszcie sama — w obawie, aby „przystęp" nie odbił się na wieczerzy — zacierkę oso-liła. Ksenia uwijała się przy niej z wielkim zapałem i z wielką w sumieniu zgryzotą.

Hrybycha w nocy wciąż o niej, póki nie zasnę-ła, myślała i nazajutrz obudziła się z myślą o niej. O-na zaś zerwała się rankiem [illegible] wstała tak, że Hryby-cha nie potrzebowała sama ognia w piecu rozpalać, co czyniła codziennie przez wzgląd na to, aby dziew-czyna „swego dospała." Budziła ją zazwyczaj później nieco, myśląc sobie: „niech się wyśpi; dola jej... gdy raz musi wyjść, będzie ją człowiek (mąż) z pościeli wypychać."

Tym razem nikt jej nie wypychał. Wstała

sama; uprzątnęła się tak cicho, że nikt jej nie słyszał; w piecu rozpaliła, garnki ~~przy~~ do ognia przystawiła i z wiadrami po wodę poszła.

Poszła i nie wracała.

Gdy się to nieco przeciągnęło, Kłybycha się zaniepokoiła: czego się ona przy krynicy bawi? Może?... e?...

— Może się z *kimś* zmówiła?...

„Z kimś!” W rozumieniu Kłybychy miało to znaczenie szczególne, które się jej przedstawiło pod postacią zagadki, wyrażającej się, jak następuje: Jeżeli się zmówiła, to z kim? Dla matki była to rzecz nad wyraz ciekawa i bardzo ważna a do dowiedzenia się wcale nie trudna z powodu, że od przełazu krynica jak na dłoni widzieć ~~była~~ się dawała. Przy krynicy rosły wprawdzie trzy grubopienne wierzby, za którymi by się ukryć można, ale nie dwojgu ludziom. Chyba, żeby liczyli na zmrok pory porankowej, przy dniu niedzielnym. Gdyż tak było... Na przypuszczenie podobne, podszyte grzechem, poczuła w sobie Kłybycha poczynające wrzeć w głębi oburzenie i, dla sprawdzenia rzeczy, udała się od ognia wprost do przełazu. Od przełazu okiem powiodła po dolinie wzdłuż wsi. Dolinę osłaniał tuman biały, w którym w jednem brzmieniu zlewały się: klekot młyńska, szum wody na Fotokach, skrzeczenie żab, brzęczenie komarów i ~~pojedynczy~~ śpiew słowika, kończącego swoją pieśń poranną. Nie do tego jej jednak było. Krynicy oczami szukała i wnet ją znalazła. Tuman wisiał do niej wprawdzie, ale rzadki tak, że ~~ka~~

bez wytężania wzroku dojrzała wierzb, żurawia i Kseni. Ksenia była sama jedna, jedniuteńka. Na ziemi obok niej stały wiadra, leżało rzucone koromysło, ona zaś — ręce opuściła i tak wyglądała, jakby była posągiem. Zwrócona obliczem ku wierzchowinom stawu, zachowywała nieruchomość. Czy się w co wpatrywała? czy się wsłuchiwała? — matka domyślić się nie mogła. Widziała jakąś zagadkę, która ją zaciekawiła i zaniepokoiła zarazem. W celu rozwiązania jej sobie, postała przy przełazie, odeszła, wróciła, znów postała, odejść chciała, lecz zamiast się ku chacie wrócić, podkasała podołek, przełożyła przez płot nogę i mimochcąc poszła ku krynicy. Stała się rzecz dziwna. Nie skradała się, mimo to Ksenia na zbliżanie się matki najmniejszej nie zwracała uwagi a to tak dalece, że Hrybycha obok niej ~~już~~ się już znajdowała i ona o tém jakby nie wiedziała. Nie wiedziała, że matka jej się z boku przypatruje ~~[illegible]~~ (dojrzała w wypisanej na twarzy intencji), dla czego ona z naprzód wychylonemi ustami wpatruje się w niebo, na którem nic nie widać innego, jak błękit szarawy. Ręce miała opuszczone; zapaski obydwa końce założone za pasek, obciskającej jej kibić; bose nogi do ziemi przyrosły niby; na twarzy jej, na ciele całém nie drgał muskuł, nerw żaden: zmieniła się w posąg żyjący.

Matka w nią wejrzenie wlepiła i chwilę upłynęła jej w milczeniu, zanim się odezwała:

— Ksenia!..

— Ha!... żachnęła się dziewczyna.

— Co tobie?...

— Co?... hę?... a... ano... — urwała dziwnie.

— Co tobie?... — powtórzyła Hrybycha tonem zaniepokojenia.

— Mnie?... co?... Ja że nic, mamo... Poszłam po wodę, taj...

— Taj stanęłaś, niby ten kołek...

Ksenia się uśmiechnęła do matki.

— Poszłam po wodę i wodym nabrała... o... — oczami na pełne wskazała wiadra i schyliła się po koromysło.

— Czegóżeś stała?...

— Czego?... — odrzekła, obejrzała się, spojrzała ku wierzchowinom stawku i raźnie pod koromysło podsunęła.

— Czyś na kogo czekała?...

Na zapytanie to zdziwienia najwyższego pełnemi oczami dziewczyna matce w oczy spojrzała, wiadra udźwignęła i z ciężarem powoli iść pod górę poczęła.

dotąd

Czy ona na kogo czekała? [Czekała, ale — nie wiedziała na kogo. Czekanie spadło na nią niespodzianie. Zerwała się przed dnia świtaniem dla ~~tego~~, ~~aby~~ wynagrodzenia się matce za to, że jej wczoraj wieczorem nie zbiła, nie poszturchała, nie połajała nawet.

Czuła, że zasłużyła na upomnienie jaknajsurowsze; w poczuciu tém atoli tkwiło coś, czego zwyciężyć nie była w stanie. Wydało się jej, że jej matka oczy otworzyła zapytaniem ostatniem. Na kogoś ona czekała, ale — na kogo?... Na istotę jakąś, której nie tylko nazwać, ale nawet w widomych kształtach przedstawić sobie nie umiała, czując jeno, że istota owa istniała, że ją ogarniała ~~ją~~, była do koła niej, nad nią, pod nią i w niej — ogarniała ją i przenikała, panowała nad nią i podległą by jej być mogła, gdyby ona nie była tém, czém jest, ale czémś, o czém pojęcia nie miała. Czuła jeszcze jedno, co ją trwogą i zarazem roz-koszą niewysłowioną przejmowało: tajemnicza owa istota, gdyby na nią kiwnęła jeno, ona by na jej jedno skinienie, poszła — wszystko i wszystkich rzuciła i poszła drogą, wiodącą po nad łąki, gaje, wody, góry, a nie tą ścieżką, którą ludzie chadzają, ale inną jakąś, promienną niby. Jak wyglądał ón ktoś, na którego czekała, dla którego się nieraz przy robocie zapominała, dzięki któremu wczora z próżnym skopcem z obory wyszła, który to sprawił, że dziś matka ją zastała przy krynicy, jak słup przy drodze stojącą. Ón ktoś wyraźnie „przystępuje" do niej. Któś on?

Nad zapytaniem tém wyszła, dźwigając, prosta jak świeca i smukła, niby topola, wiadra pod górą. Za nią szła matka. Hrybycha, patrząc na sykowności" córki, wydatniającą się grą muszkułów, które za każdem ~~jej~~ dźwignięciem pod ciężarem porusze-

niem, falowały wzdłuż kości pacierzowej, myślała nie o niej, ale o sądzonym jej, nie pojawiającym się dotychczas. Gdyby się pojawił, już by od niej nie odstał. Nie odstałby na pewno, chociażby ją widział nie z przodu, jak się przedstawiała teraz oto, gdyby szedł ale tak, za nią krok za krokiem, gdy ona z pełnemi wiadrami od krynicy wraca. O! nie odstałby. Niech się jeno pojawi.

Nie pojawiał się jednak do niej — przystępowało.

i ze mną tak bywało...

— To znał... — powiedziała do siebie Hrybychna, domyślając się we wpadaniach Kseni w zadumę pożądania tego zakazanego owocu, o którym głoszą wszystkie dumy, dumki, pieśni i piosenki. Z tych ostatnich przypomniała się jej z czasów dziewczęcych jedna, opowiadająca, jak dziewczyna siano gromadziła i chłopca sobie zwabiła. Ksenia nie zwabiła żadnego. Ale to nic.

— Niechajno... — rzekła do siebie w duchu z akcentem pewności niecierpliwej.

Rzekła to do siebie i powzięła zamiar, do wykonania którego przystąpiła niezwłocznie po załatwieniu porannych zajęć gospodarskich. Zawołała Ksenię do komory, do której uprzednio wniosła szaflik i napełniła takową wodą letnią.

— Rozdziewaj się i kosy rozplecz!.. — rzekła tonem rozkazującym.

— Aa?... — odezwała się dziewczyna z akcentem zdziwienia.

— Nie pytaj... rób, co ci każę!..

Dla przyśpieszenia snadź roboty, sama jej

warkocza rozpuściła, naczysto rozwiązała i koszulę zdjęła, następnie nad szaflikiem ją postawiła i zabrała się do mycia jej od góry do dołu. Ksenia się nadaremnie wypraszała, powiadając, że się umyje potrafi bez pomocy matczynej. Hrybycha jej, jakby nie słyszała — swoje robiła, myła, szorowała, obcierała, wreszcie cienką z szelkami potykanemi koszulę na nią włożyła, na be-dni ją posadziła i do [czesania a] zaplatania jej kós przystąpiła. Przy zaplataniu pracowała milcząco.

— Niedziela, boży dzień... — prawiła. Do cerkwi pójdziesz... Cerkiew, boży dom... Przed Panem Bogiem godzi się stawać, w czém masz najlepszego... To tak... Pan Bóg, hej!..

— Jaś rozumie... — zaczęła Ksenia.

— [pracowała —] Chodzisz do cerkwi w koszuli od dnia powszedniego i w zapasce, w której do roboty stajesz... Tak się nie godzi... My Panu Bogu za tyle dziękować musimy... I chleb od Niego, i zdrowie od Niego, i dola od Niego, i wszystko, wszystko, te nawet kwiatki, co do koła grządek rosną... Gdy się odziejesz, pójdziesz i urwiesz gałązkę barwinku i kilka czerwonych brywców do wetknięcia za warkocz, a lubystek włożysz za pazuchę, ażebyś pachniała...

O cerkwi mówiła, ~~a~~ na myśli [zaś] miała więcej, te inaczej, przy jedynym ognisku dusz [zatroskana matka] ~~Hrybycha~~ pieliła pieczenie: strojąc córkę do Pana Boga, stroiła ją zarazem do ludzi. Nie przypuszczała, ażeby się Ksenia prze-

odziała, gdy raz wana odziana jak należy.
Wystroiła ją też. Bisiory wszystkie całe jej pokryły ple-
cy; na piersiach, z pośród błyszczących paciorek prze-
glądały korale prawdziwe i nawężenie szerokie; od warkocza,
czerwonemi związanego kosnikami, odbijały zielone listki i
pomarańczowe czarno nakrapiane kwiatki; kibić zejmo-
wał pas czerwony, przytrzymujący zapaskę nową, przy-
ozdobioną w szerokie brązowo-żółte szlaki, dwa z przo-
du, jeden, przecinający w pół od góry do dołu zapaskę,
z tyłu. Żółte buty uzupełniały strój, niepozbawiony
wdzięku charakterystycznego a uwydatniający, jeżeli nie le-
piej, to równie dobrze, jak modne wielkich pań stro-
je, wdzięki, w jakie natura niewiasty zaopatrzyła. U-
krainki bezwarunkowo lepiej, aniżeli Paryżanki, a na-
wet i Warszawianki, wykazują te kształty postaci, które
siostrzyce ich wielkoświatowe zamaczają kokardami,
koronkami, fałdami, tiurniurami i rozmaitemi
misternemi wstawkami, obrachowywaniemi na dra-
żnienie wyobraźni gminu płci odmiennej. U wieśnia-
czek ukraińskich wykazuje się to wszystko *in crudo*, w od-
powiedniem wypukłości i z odpowiedniem drganiem,
akcentującem formy estetyczne, gdy takowe odpowiada-
ją warunkom piękna. U Kseni wszystkie formy wa-
runkom tym odpowiadały, to też, gdy z komory, z
rąk macierzyńskich, czysta i wystrojona, do świetlicy wy-
szła, ojciec jej, któremu do córki towarzyszyć mia-
ła, spojrzał na nią, popatrzył, głosem zlekka wstrząsnął i zawołał.

— Oj ha!..

Po chwilce dodał:

— Nie stawaj jeno pod krylosem, naprzeciwko djaków...

— Czemu?... — zapytała matka, spoglądająca z wyrazem tej w oczach dumy, którą rodzi przeświadczenie o wykonaniu arcydzieła.

— Czemu?... — odparł Hryb, czapkę na łeb wkładając. Zapatrzą się, zagapią i zapomną, co śpiewać mają...

Hrybychna się uśmiechnęła. Uśmiech jej odnosił się nie do djaków i ich zapatrzenia się, ale do zapatrzenia się parobków, o którego jej chodziło i na które teraz już z pewnością liczyła.

Mąż spojrzał na nią; ona spojrzała na męża: — porozumieli się.

— No... chodźmy... — rzekł Hryb do córki.

Poszli — on przodem, dziewczyna za nim: tak chce etykieta wiejska i uszanowanie rodzicom od dzieci należne. Hrybychna nie poszła. Zwykle służby bożej w niedzielę i święta nie opuszczała; tym razem jednak, dla wyprawienia Kseni odstąpić musiała od pieca i odłożyć podanie objadu na później. Obiad ją zatrzymał. Wyprowadziła męża i córkę, przystanęła na progu i szła oczami za dziewczyną swoją, póki jej za wrotami z oczu nie znikła. Znikła — ona jeszcze chwilkę stała, ustami ruszała, jakby sama do siebie mówiła, wreszcie się odezwała w głos:

— Chybaby poślepli!..

Rzekłszy to, zabrała się do przysposobienia posiłku. Uwijała się przy piecu, przysuwając i odsuwając garnki, dosypując to soli, to okrasy, dokładając [illegible] i co moment uśmiechając się do siebie. Uśmiechy [illegible]ły, że się w ~~wesołem~~ złym humorze i w dobrém znajduje usposobieniu. Zaznaczyła to jeszcze inaczej, a mianowicie: za pomocą pomysłu, który jej nagle w głowie strzelił i do wykonania którego przystąpiła niezwłocznie. Polegał on na włożeniu do barszczu schabu wędzonego i na dodaniu do obiadu ~~dania~~ jadła nadliczbowego. Gwoli tego ostatniego, ciasto osobno zamiesiła i osobno na trójnogu baniaczek postawiła. Krzątała się, porządkowała, kurze ścierała, stół przyrządzała i powracających z cerkwi powitała wyrazami:

— Obiad gotów... siadajcie...

Ksenia do ~~[illegible]~~ posługiwania do stołu ręki przyłożyć chciała, lecz ją matka odprawiła krótko i ostro, używając wyrażenia, jednoznacznego z angielskiem hands-off!, które, wzięte przez Gladstona, służy obecnie wszystkim stanom, gdy chcą komu grzecznie oświadczyć: "Nie wtrącaj się do rzeczy nie swoich!" Odprawiona w sposób ten dziewczyna usiadła i jadła — jadła półgębkiem zrazu, po dziewiczemu, następnie jednak, ulegając niezwyczajnej smakowitości potraw, przez Hrybychę przyrządzonych, przykładała się coraz to lepiej i już miała dosyć, gdy na stole pojawiła się makutra z wierzchu przykryta. Makutra ta, jako niespodzianka, wzbudziła zdziwienie i ciekawość. Hryń się podniósł i oczy w przykry-

20.

z natężeniem wzrok wlepił, a gdy matka takowa zdjęła, nieswoim jakimciś głosem krzyknął:

— Przysięgam Bogu... buchaniec!...

— Eee?... — oderwał i Hryb przeciągle.

— To na ci — rzekła Hrybycha pół-żartem — aby by Ksenia na murzykach nie zgłodniała...

— Hij... — odparł Hryb. Zgłodnieć ona, i do jutra nie zgłodnieje, jeżeli zje z dziesiątek buchaniców; ale... ot co: czy nie będzie jej z niemiłościa pod sercem ciężyło w tańcu?...

— Jakoż ta ono tam będzie ... — odparła matka.

— Chyba, że ci pierwej wydycha...

— Wydycha i ona...

Smakowitość buchaniców tak była wielka, że znalazło się na nie miejsce w żołądkach pomimo barszczu, kapusty, buraków, kartofel i chleba, które się do takowych przedtem w poważnej dostały ilości. Ksenia nie zjadła dziesięciu, ani nawet pięciu; spożyła trzy jeno i stanęła w mierze. Matka nie namawiała jej i nie sprzeciwiła się temu, że po obiedzie poszła do sadku pod czereśnię, pod którą się w trawie nawznak położyła, wyciągnęła i oddała temu rozkosznemu far niente, które znanem jest jeno rzetelnym Ukraińcom i rzetelnym Włochom. Nad nią kraśniały mnóstwo, latały chrząszcze i ptaki, których brzęczenie słało się z ćwierkaniem ptaszą, niewidzialnych śród liści okrywających gałęzi. Dziewczynie się oczy kleiły i niebawem wpadła w stan półspania, nie przeszkadzającego jej widzieć i słyszeć — słyszeć wołania. Słyszała daleki

jakieś, ciche, cudne granie, czy śpiewanie, któremu muszki, chrząszcze, bąki i ptaszki wtórowały. Ksenia rozkoszowała. Owo granie czy śpiewanie, raz się oddalało, znów zbliżało, raz słabło, znów się tak wzmagało, że na całe ciało, jak przechodziły fale tonów i wprawiały w drżenie listki i trawki. I błogo jej było — nie pragnęła niczego innego; błogo jej było, gdy naraz w uszach jej zabrzmiało: brr brr, brr brr, dili dili, dzeń dzeń...

Coś nią niby podrzuciło; usiadła i rozglądać się poczęła.

W oczach jej malowało się zdziwienie z żalem połączone.

Brzmienie nie ustawało głośne i raźne.

Ksenia nogi ściągnęła, kolana w splecione palcami dłonie ujęła i głowę ku kolanom pochyliła.

W pozycji tej, w której pozostawała godzinkę jaką, doszło do jej słuchu wołanie matczyne:

— Ksenia!... a!..

Wołanie się powtórzyło raz i drugi i dziewczyna na nogi skoczyła i pobiegła:

— Wyspałaś się?... — zapytała jej matka.

— Nie... tak... niby... — odbąkiwała

Hrybycha ją od stóp do głowy opatrzyła, poprawiła na niej to i owo, sprawdziła, czy [illegible]

i rzekła:

— No... idź...

— Dokąd?... — zapytała Ksenia.

— Nie słyszysz?...

– Czego?…

– Ano… karczma…

– Aha!… – odezwała się tonem domysłu.

– Pobiegnij na jaką godzinkę… – rzekła matka tonem nabrzmiałego pozwolenia. Młodaś… młodość ma prawa swoje i prędko, oh! – westchnęła – jak prędko mija…

Westchnęła i Ksenia.

– Ta skądże tobie na wzdychanie się zbiera?… – zapytała jej matka.

– Czy ja wiem skąd!… – odparła, ramiona i oczy wznosząc.

– No… idź… biegnij a wracaj, jak trzeba nadejdzie…

Po wyprawieniu córki, Hrybycha w chacie sama jedna została. Święta niedziela sprowadziła ją do zażywania spoczynku. Lecz się ona tak do roboty wciągnęła, że spoczywać nie umiała. Spoczęła zrazu po obiedzie, zdrzemnęła się z powodu buchaniców i, skoro się obudziła, wnet się do krzątania wzięła, pierwej atoli zwróciła się do męża ze słowem, które Hryba mocno zdziwiło.

– Pójdź ty do karczmy… – rzekła.

– Do karczmy?… – odrzekł Hryb, zapytania pełne oczy w nią wlepiając.

W początkach ich małżeńskiego pożycia były i te zatargi i spory, które się rozstrzygnęły zwycięstwem przemyśli kobiety, odciągającej męża całemi siłami od smakującego mu kieliszka. Nie przyszło jej też z ta-

twością. Tryumf swój okupiła drogo. Po walce, jaką stoczyć musiała, nim takowy osiągnęła, pozostały jej wspomnienia i pamiątki, pozostające z kazaniem w związku ścisłym a bezpośrednim. Z tej racji słowa żony zdziwiły Hryba mocno. Ale ona mu je wytłumaczyła.

— Widzisz — rzekła — idzie tu o dziewczynę... Już by pora wydać, ale do tego potrzeba, ażeby była jakaś i z jej i z parobków strony zaczepka... Rozumiesz?..

— Ano... — odparł Hryb. Bez zaczepki nic się na tym świecie nie dzieje...

— Otóż to...

— Ale... po cóż ty do kazania wyprawiasz mnie?..

— Bo i ona tam pójdzie i, gdy ciebie, ojca rodzonego zobaczy, będzie śmielsza...

— Aha!... no to i dobrze...

Posłuchał Hryb żony i z posłuchania tego wypadło, że Hrybycha, wyprawiwszy następnie córkę, pozostała sama, przy oborze pustej i chlewie pustym, bydło bowiem, owce i nierogacizna na paszy były. Z żywych istot, dotrzymujących jej w obejściu towarzystwa, znajdowały się jeno pies i kury. Pies w cieniu spał, budząc się od czasu do czasu dla kłapnięcia zębami na muchę, gdy mu dokuczyła. Kury po podwórku się przechadzały pod wodzą koguta, gdakały i zbiegały się do kupy, gdy je kogut wzywał. Hrybycha na przyzbie usiadła, ręce na piersiach złożyła, po kurach okiem powodziła i dziwiła się mądrości bo-

żej, która to sprawiła, że kury jaja niosą i z jaj się kurczęta wykluwają. Jak skoro jednak na myśl jej kurczęta przyszły, wnet się, jakby ją co podrażniło, zerwała. Przypomniała sobie, że trzy kwoczki na jajach siedzi i z pod jednej z nich kurczęta by już wychodzić powinny. To ją zajęło, a potem zajęło ją coś innego, a dalej jeszcze co innego, chodziła, kręciła się, tu coś poprawiła, tam coś przestawiła, niby to nic robiła nie a z pod jej ręki wychodził porządek, który się sam przecie nie robi. Krzątając się, pomyśliwała o Kseni. Spokojna o nią była. Nie przypuszczała, ażeby stało się jej, jak tej, o której piosnka mówi:

petitem

"I bohata, i chorosza, i kto hlane achne,
Ale kożny utikaje, bo harbuzom pachne!"

Nie harbuzem dziewczyna jej pachnie, ale lubystkiem, co się w tańcu rozgrzewa i taką woń roni, że aż w nosie kręci. Spokojna więc o nią była. Krzątała się, spoglądała od czasu do czasu na słońce, pochylające się ku zachodowi, przysłuchiwała się od czasu do czasu muzyce, rozlegającej się z przed karczmy po wsi całej; uśmiechała się, gdy o słuch jej obił się odgłos trepaków, wycinanych z przyciskiem przez jakiegoś rozochoconego parobka; w myśli wyobrażała sobie Ksenię, posuwającą się naprzód i w tył, wyginającą się w lewo i w prawo, trzymającą oczy spuszczone i przebierającą nogami drobno, drobniutko, drybuszeczki. Słodko jej i lekko na tę myśl się robiło. Wrdy-

chała, uśmiechała się i czekała końca.

Przed końcem doczekała się wieści.

Nadszedł Hryć.

— Gdzieś się włóczył?... — zapytała.

— Patrzałem na muszyki... — odpalił.

— Potrzebnyś tam... no?..

— Napatrzyłem się i odszedłem...

— Widziałeś Ksenię?..

— A jakże...

— No i cóż?..

— No i nic...

— Tęsknija?..

— A jakże... Jak ino przyszła, porwał ją Ostap Zahrobelny i jak się jął nią motać, to motał i motał, ha!..

— Motał, powiadasz...

— Ehe... W przysiudy przed nią do samiuteńkiej ziemi przypadał...

— A ona?..

— Ona... no ona, uwijająca się, dziewka...

— Wygląda nieczego...

— Ta-ż nieczego...

— No jak zorza jasna...

— Albo ja wiem... Idem się popatrzył taj odszedł...

— Któż ją po Ostapie wziął?... — indagowała Hrybycha syna dalej.

– Nie wiem...

– Patrzałeś przecie...

– Patrzałem...

– I nie widziałeś?..

– Nie widziałem...

– Chyba tobie oczy zaślepiło...

– Ta i coby mi zaślepować miało!...

– Aleś widział, jak Ksenia tańcowała...

– Widziałem, jak widzę oto was, mamo... popatrzałbym był jeszcze, ale mi strasznie jeść zachciało...

– Tobie tylko ta jedzenie w głowie... Czyś to ci nie najadł buchańców... co?.. Patrzaj, jakeś je zmiatał, bałam się, żebyś nie pękł...

– A?.. pękł?.. Czy to tak człowiekowi pęknąć łatwo!...

Hrybycha dała chłopcu dużą, chleba partykę a do chleba grudkę sera dzieżkowego i skwarek kilka.

(Dalszy ciąg nastąpi) Teodor Tomasz Jeż.

Wieść przez Hrynia przyniesiona zadowoliła ją. Ostap z dobrego pochodził rodu i uchodził we wsi za parobka porządnego — nadawał ton młodzieży skałeckiej. [Szwankował nieco pod względem stateczności, była to atoli w oczach Hrybychy, która człowieka niestatecznego na statecznego przerobiła, wada pomniejsza.

– Ustateczniłaby go ona...— mówiła do siebie, myśląc o możliwości skojarzenia węzłem małżeńskim tej pod innemi względami dobranej pary.

Nie sprzeciwiałaby się, gdyby Ostap zamiłował przy-

stał — nie spuszczałaby się i dla tego bodaj, że jak słowo Ksenię zoczył, zaraz ją porwał i nią motał. Świadczyło to, że się na niej poznał. [Czuła wiele dla niego wdzięczności i za siebie i za dziewczynę.

Hryć podwieczorek spożył, wody się napił i dokądś świsnął.

A tu już i środa słyszeć się zdaleka dała. Beczenie spieszących do cieląt krów rozpoczynało rzępolenie skrzypki, w której tonach czuć było, że kulawy szewc, co przy niej siedzi, trzyma smyczek ręką niekoniecznie już pewną. Przygłuchały również bas i rzeszoto, kompletujące orkiestrę miejscową. Ochrypły niby. [Zbliżała się pora zakończenia niedzielnej zabawy i powrotu dziewcząt do chat.

— To i dobrze... — pomyślała sobie Hryćkowa i zaniepokoiła się nieco wedle niego, ażeby mu się dawne nie przypomniały czasy, kiedy to wracał nocą, albo i nie wracał, przesypiając i pod ławą szynkową.

Obawa jej jednak płonną się okazała. Hryć nadszedł razem z środą. [Wrócił w stanie podochocenia, urabiającego w nim wesołość i rozmowność. Gdy był na urząd pijany, ~~[illegible]~~ nabierał ochoty do bicia i tłuczenia. Kobieta znała się na tém i po cichu podziękowała Panu Bogu, że się tak obróciło. [Hryć czapkę ~~wsunął~~ przesunął na bakier; na obliczu jaśniał mu uśmiech; brwiami mrugał i wąsy pogładzał.

— Aha... otoż... — zaczął, na przyzbie siadłszy i kolana rozłożywszy. Jak się pokazała, to inaczej

słońce świeci... Horpyna, Chrystyna, Matanka, Maścia przy niej... bicie!... A tyś tu po co?... — zwrócił mowę do psa, który do niego podszedł i łeb mu na kolanie położył. — Czy myślisz, żem ja dla ciebie bublik z karczmy przyniósł?... O! jeszcze by czego nie stało... Tobie niedźwiedzi potrzeba...

— A zaś, Bury!... — krzyknęła na psa Hrybycha, rozgniewana, że przeszkodził mężowi sprawę z tryumfów Kseni zdawać.

Hryb się za Burym ujął. Jął żonie perswadować, że każdy pies jest stworzeniem bożem, jak każde bydlę, jak kura, gęś, jak człowiek wreszcie. Perswadował i tak się rozrzewnił, że Burego pomiędzy kolana sobie wciągnął, za łapy go przednie podniósł i do siebie przytulił.

— Bodajeś zezdechł!... — burknęła Hrybycha pod adresem psa.

Rady jednak nie było. Zmiarkowała, że się z mężem nie dogada i wyglądała Kseni.

Wyglądała za długo trocha. Muzyka całkiem ucichła a ona — nie nadchodziła. Nie nadchodziła i nie nadchodziła. Hrybycha co moment ku bramie wejściowej zwracała i za każdym razem z coraz to mocniejszym odsapywała przycinkiem, nie umiejąc sobie wytłumaczyć, co by to spóźnianie się znaczyć miało. Wypadała na dwór raz ten, znów inny.

— Czy nie Ostap?... — strzeliło jej w myśli.

I przeszedł jej po za plecami mróz.

„Ten Ostap, taż to ładaco, urwipołeć, psubrat, służebnik — motał się, motał, a od motania dziewczyna staje się kurczęciem. Bierz ta z nij — sama szyję nadstawi. Czy nie zaciągnął jej gdzie?..”

Gdy się jej to ostatnie zapytanie do głowy wcisnęło, srogim na Ostapa zawrzała gniewem. Miałby się parobek z pyszna, gdyby i jej w tej chwili pod rękę nawinął. Chciała gniew spędzić na nim, wystosowawszy do niego pretensję: czemu on wracając nie zabrał Kseni z sobą? czemu ją rzucił parobkom na pastwę? Zaniechała jednak tego, wiedząc z góry, iżby to ~~sto~~ nie doprowadziło do niczego. Chciała Hrynia posłać, ażeby siostry szukał w karczmie, za karczmą, ~~po zaroślach, po bławatach~~, wszędzie, wszędzie; lecz i tego zaniechała — wstyd ją przejął, na płacz się jej zbierać poczęło.

Aż tu — słyszeć się dał Kseni głos; zabrzmiał donośnie i srebrzyście:

— Hrynia!... idź do cieląt, ja tam zaraz na oborę przyjdę!...

Hrybycha odetchnęła, uśmiechnęła się i łzy obtarła.

Wzruszenia, przez jakie przechodziła, przeszkodziły jej rozmówić się z córką i zapytać ~~jej~~ o powód, dla którego się z powrotem spóźniła. Odłożyła to na później; później zaś na przeszkodzie stawały następujące jedne po drugich zajęcia domowe i wykonywanie zajęć gospodarskich na dzień jutrzejszy. Nadchodziły bo pilne w ogrodzie i w polu roboty. O nich myśleć trzeba było. Wobec nich przeto, Hrybycha na tém tymczasowem poprzestała, że zestawiła dwa

Kseni spóźnienia: jedno przy krynicy, drugie na mu-rykach. Jedno z drugiem sprzęgła i uspokoiła się. Uspo-kojenie nastąpiło tem łatwiej, że na niepokój czasu nie było. Sianie, motyczenie, podorywanie, podgartywanie, kopa-nie, pielenie tak zajęły Hryta, Hrybychę, Ksenię i Hrynia, że nie było kiedy w głowę się podrapać, nie dopiero o spó-źnieniu i dziewczyny myśleć. Minął tydzień, minął drugi, trzeci i dalsze, życie upływało trybem zwykłym i do trybu tego przystosowywała się Ksenia, wnosząc w przy-stosowywanie się pewne osobliwości, które zrazu nie uwa-żały, następnie jednak zwróciły na siebie uwagę matki. Nie spóźniała się, ale się niekiedy zapodziewała.

Nie spóźniała się tak dalece, że niedzieli, co na-stąpiła po tej, w której swatanie się Ostapa, sprawiwszy ~~sprawiło~~ Hrybysze zadowolnienie najprzód, a później jej strachu napędziło, na muzyki poszła i w półgodzinki z po-wrotem była.

— Czemuż tak prędko?... zapytała matka

— At... odparła z akcentem niesmaku.

Przeodziała się i spać się pod czereśnią położyła.

Dalej wypadły święta, w które się rozłociło. Słota przetrzymała przez niedzielę. W niedzielę następną wracała z muzyków raz trochę prędzej, znów trochę później, nigdy jednak za późno.

— Cóż ten Ostap?... pomyśliwała sobie Hryby-chsa od czasu do czasu.

Zaczepiła o niego Ksenię raz i drugi i Ksenia,

raz ramionami jeno wzruszyła, drugi raz odburknęła matce:

— Niech mi on da czysty pokój!..

— Albo co?... — zapytała matka, domyślając się w tej odpowiedzi "czegoś."

— A... bo... — odparła — ja jego nie chcę...

"Chce zapewne innego" — powiedziała do siebie Hrybycha i, lubo Ostap wydawał się jej na zięcia w sam raz, uwzględniła jednak właściwe dziewczętom kręcenie i o Ostapa nie zaczepiała więcej.

— Kręci nią... — zauważyła — to znak... i ze mną tak bywało...

Wymiarkowała to z zapodziewania się dziewczyny. Ni z tego, ni z owego znikała nagle, bez względu na porę dnia. Trafiało się to niekiedy z wieczora i zaciągało w noc. [Raz Ksenia wróciła o pierwszem kurów pianiu, do izby się wsunęła i cicho przylegla, sprawiając się tak, ażeby rodziców nie pobudzić. [Hrybycha ją słyszała. Nazajutrz rano, na zapytanie, gdzie była, odpowiedziała:

— Nigdzie...

Odpowiedź ta rozgniewała matkę.

— Słuchaj no ty... — rzekła, pod nos jej palcem kiwając — nie proś Boga, jeżelibyś nam wstydu narobiła!.. Ludzie taką jeno dziewczynę szanują, co szanuje sama siebie... Djabeł nie śpi; wąż z jabłkiem za każdą dziewczyną śladem pełza...

Ksenia nic na to nie odrzekła i z zapodziewań się nie zaprzestała.

Razu pewnego wieczorem ~~Hrybycha~~, za chatą

się znajdując, Hrybycha zoczyła ją wypadkiem, zagłębiającą się w sadek. Nie namyślając się długo, poszła za nią. Niedaleko iść potrzebowała. Ksenia się na okopie zatrzymała, trochę postała, wreszcie usiadła. Hrybycha się do niej odważnie ~~zbliżyła~~ na nie więcej, jak trzy cztery kroki zbliżyła. Tak, iż — ponieważ księżyc w pełni świecił — widzieć ją mogła wyraźnie. Dziewczyna siedziała z podniesionemi kolanami; kolana rękami objęła i głowę na nich potem oparła. W postawie tej pozostawała nieruchoma i milcząca. Pozostawała długo. Hrybycha, celem odgadnięcia, ~~aby~~ skąd by się to siedzenie brało, oglądała się i nasłuchiwała. Cóż widziała? Księżyc blask srebrzysty rzucał; po polach przewiewały się cienie; na niebie gromadziły się obłoki świetniste i goniły za księżycem, pomykającym się szybko, śród korowodu bladych gwiazd. Cóż słyszała? Od grobli dochodził szum wody i klekot kół młyńskich, wtórujący skrzeczeniu żab, a na polach odzywały się świerszcze, koniki polne, przepiórki, sowy i inne głosy niewiadomo czyje. Ani to co widziała, ani to co słyszała, nie mogło jej dać klucza do rozwiązania zagadki siedzenia Kseninego. Może się z kim namówiła? Może na kogo czeka? Podejrzenie to dawniej do głowy jej przychodziło, postanowiła więc sprawdzić, chociażby noc całą nie spać miała. O cóż! O czém że się dowiedziała? O niczem. Ksenia po niejakimś czasie wstała, ręce nad głową załamała, chwilkę patrzała na księżyc, uciekający przed świetnistym obłokiem

i do chaty wróciła.

— Przystępuje do niej... — powtórzyła Hrybycha dawniejsze swoje przypuszczenia, lecz powtórzyła je z dodatkiem postanowienia zapobieżenia następstwom, jakieby stąd, w niewiedzeniu jej, wyniknąć mogły.

Następstwa przewidywała. Przedstawiały się jej one pod postacią siwej kozy, zagrażającej dziewczynie. Przedstawiały się one nie tylko jej, ale i ludziom na podstawie reguły: "Wiedza zawiedzie, jak kto wiedzie." ludziom jednak przedstawiały się inaczej. Dla matki się ona — zapodziewała; dla innych — latała. Spostrzegano ją krążącą po zapłotkach i zatroniach i powiadano o niej: "Szuka, czego nie zgubiła; znajdzie, czego nie szuka." Do uszów matki nie dochodziły gadania podobne i troska jej, uspokojona co do zapodziewania się Kseni, zwróciła się całkowicie ku temu, ażeby ją jaknajrychlej za mąż wydać.

— Wyda się i będzie koniec!... Swój człowiek, swoja chata, swoje gospodarstwo, da Bóg dzieciątko: to co przyczepi się, odstąpi za siódmą rzekę, za dziewiątą górę, za dwudziesty las...

O wydaniu atoli łatwo było powiedzieć. Kiedy do wykonania przyszło, pokazały się trudności przedewszystkiem ze strony Kseni. Matka jej po dobremu powiedziała, że tak Pan Bóg dał, iż każda kobieta musi mieć swego człowieka i opowiedziawszy to, zapytała, również po dobremu, czy w świecie nie ma parobka, którego by sobie bardziej, aniżeli innych, upodobała.

Ksenia na zapytanie to, myślała, myślała,

w ramię i w biodro zadrapała, w kąty spoglądała, wreszcie odpowiedziała:

— Nie ma...

— Ani jednego?..

— Ani jednego... — westchnęła.

— Może z innej wsi?..

— Nie... — odparła.

— Może tobie — zaczęła matka już gniewnie — w głowę zajechać panicz?..

— Tfu!.. ta jaki?..

— Czy ja wiem!.. Kiedy ci do parobków serce nie przemawia, to chyba dla tego, że te parobcy...

— Gdzież tam!.

— Dla czegoż?..

Ramionami wzruszyła.

Dziewczyna wytłumaczyć się nie umiała, nie rozumiała bowiem fenomenu, przejawiającego się w żyjących w społeczeństwie istotach organicznych, w jednych wyraźnie, w innych niewyraźnie. Fenomen ów polega na specjalizowaniu przez naturę uzdolnień, jakie społeczność na rzecz swoją spożytkowywać potrzebuje. Uwidzieć się to daje na pszczołach i mrówkach, podzielonych na klasy, funkcjonujące społecznie na korzyść społeczeństwa, uzdolnione atoli jedne do takich, inne do innych usług. Te żywią, budują, ochraniają, owe bytowanie rodzaju utrzymują. Inne dla nich potrzeby społeczne nie istnieją, więc innych specjalistów natura na ich rzecz nie wytworzyła. W wyższej rozwinię-

tém społeczeństwie, jakiem jest ludzkie, posiadające potrzeby moralne — umysłowe i estetyczne, reguła ta się powtarza innego wyrażenia i w innych formach, dostrzegalnie jednak. Zachodzą w niem komplikacje. Wydaje ono indywidualizmy nie zbiorowe, ale pojedyncze, zaopatrzone w uzdolnienia specjalne, tłumiące w nich właściwości i popędy człowieka przeciętnego. Ludzkość we względzie tym produkuje naznaczone w oczach ogółu piętnem dziwactwa typy uczonych, amatorów, wynalazców, ideologów, artystów, niezdolnych brać udziału w życiu poza zakresem przedmiotu, pochłaniającego ich całkowicie. Rozstrzyga w tém zamiłowanie, będące i zarazem w wielu usposobieniem i wskazujące powołanie, skierowujące osobistość pojedynczą na drogę ustalną, na której wpatruje się ona w jeden, wyrażający jej zadanie życiowe punkt i ku punktowi temu podąża. Stanowi to właściwość genialności, nie bez pewnej racji pomawianej o obłąkanie. Podlegają ocenie ożywieni iskrą bożą artyści, rozmiłowani w sztuce w tej lub innej postaci i niedostępni w obec niej dla uczuć ~~[illegible]~~ pospolitych i popędów rodzajowych. ~~[illegible]~~. Kochają sztukę i ta ich uniezdalnia do pokochania czego innego. ~~Ona~~ Sztuka na nich wkłada obowiązek, dopełnienie którego daje im w nagrodę rozkosz, obracającą w niwecz rozkosze wszelakie, stanowiące cel pogoni dla śmiertelników

nieznajomych. Wybrańce ci rekrutują się we wszystkich sferach i warstwach społecznych, w których, stosownie do warunków, jakie ich otaczają, albo wznoszą się na wyżyny, przyświecając ludzkości na kształt gwiazd przewodnich, albo też giną bez ~~wieś~~ bez wieści i śladu.

Tego wszystkiego Ksenia wytłumaczyć sobie nie umiała, ażeby się przed nią usprawiedliwić, dla czego jej do żadnego z parobków szlacheckich i ze wsi sąsiednich serce nie porywało. Nie pociągało jej nic do chłopców, żadne pragnienie, żadne pożądanie, żaden popęd, żadna ciekawość sprawiająca nerwowe łechtanie. Niczego podobnego w sobie nie czuła w obec czegoś, co ją rwało i pchało z siłą nie przepartą do pogłębiania się tą istotą swoją w grę tonów, rozbrzmiewających dokoła niej. W tonach tych dosłuchiwała się takich, co w nią wnikały i sprawiały jej drżenie, jakby ona sama była ~~fa~~ harfą, o której struny potrącały palce powietrzne. A nie tylko słyszała, ale i widziała — widywała tony falujące w promieniach gwiazd.

Wszystkiego tego sobie wytłumaczyć nie umiała; gdyby zaś wytłumaczyła — coby na to powiedziała Hrybycha?

Coby na to powiedziała najsurowiej wychowana księżna, gdyby jej córka, zamiast iść za jednego z dobijających się o jej rękę królewiczów, wyje-

ny lub pasterzy, wolała słuchanie koncertów, wygrywanych na promieniach gwiazd?

Różnica warunków środowiska społecznego nic tu nie ma do rzeczy. Hrybycha i księżna nie rozumiały jednakowo podniet psychicznych, działających w duszy, będącej ołtarzem, na którym gore westalski ~~święty~~ ogień sztuki.

Ksenia przeto inaczej matce odpowiedzieć nie mogła, jak wzruszeniem ramion.

Ona ramionami ruszyła, a matka do niej tonem wyroku, od którego apelacji nie ma, przemówiła:

— Jeżeli ty się sama wydawać nie chcesz, to ja ciebie wydam... Tomie Makohonowi żonka słabuje; podermała się niebodze; ludzie powiadają, że zimy nie przetrzyma... Toma na gwałt będzie żonki potrzebował...

Ksenia z cicha westchnęła.

Ta perspektywa, że Toma Makohon będzie żonki potrzebował, najmniejszego na niej nie sprawiła wrażenia. Bynajmniej też nie wpłynęła na zapodziewanie się jej. Owszem. Od chwili, jak się dowiedziała, co jej zagraża, coraz to częściej i na coraz to dłużej znikać poczęła. Matka, po podpatrzeniu jej na okopie, mniej na to zważała; po wsi jednak ludzie między sobie zęby wycierali, dodając i dokłamując. Powiadali, że łazi się popod zapłotki bez przyczyny, że się po burzanach tarza nie bez kozery. O! ludzie...

(towarzyskich na wyrynach? na mizinach)

czego ona nie wymyśla, gdy jej się na ochotę zbierze!

[Ochotę podżegała Ksenia sama i w dziewczętach i w parobkach: w pierwszych tem, że od nich stroniła; w drugich tem, że im do siebie przystępu nie dawała.

Ci ostatni, przypatrzywszy ją na tańcach raz i drugi, zmówili się na nią, zasiedli i, gdy się przebierała, skoczyli. Nie udało się im jednak. Schwycili ją jeno i przekonali się, że w bieganiu nie wyrówna jej parobek żaden. Rękę jednemu, co ją był ułapił, wyrwała, podtoczkę podkasała i tak dyrnęła, iżby jej ladajakim koniem nie zgonił. Nauczyło ją to ostrożności. [Przez tydzień z górą z chaty nocą nie wychodziła.

Nadeszła jesień, poprzedzona babiem latem, tą porą roku rozkoszną, w której przyroda, przysposabiając się do słót listopadowych, burz grudniowych i mrozów styczniowych, sama sobie kołysankę na sen zimowy śpiewa. Inne, aniżeli na wiosnę i latem, odzywają się głosy, inne tony grają. [Zdaje się, jak by orkiestrę przyciskał pedał olbrzymi i zmuszał ją do wydawania dźwięków tłumionych, rozbrzmiewających pospiesznie po polach, zamierających w rozdołach, szeleszczących łodygami dojrzałych bodiaków. [Niekiedy robi się "cicho, jak na serca śmierć swój obraz kreśli"; niekiedy zrywa się ze środka szlaku wicher, na miejscu się zaraz kręci, słup kurzawy wzbija, następnie z szumem i burza-

niem szerze, na las wpada i w lesie ginie. Wicher psotnik, co mu się na zbytkowaniu zebrało i wypadł, taki, to niby (nie dla czego innego, jak dla popsucia ogólnej harmonji orkiestrowej, w której udział biorą grajkowie widzialni i niewidzialni, rozsypani po ziemi i niebie. Lada wiaterek pociągnie i zaraz hymn się zaczyna śród burzanów, na mogiłach, w lesie, w oczeretach, idzie z dołu, od badyli, traw, chwastów, od najmizerniejszych samotnych bylinek, idzie z góry, we dnie od chmurnych i jasnego nieba, w nocy od gwiazd, księżyca, obłoków. Szumi, dzwoni, śpiewa i przemawia się do wszystkich jednakowo. Tłum słucha i słyszy, ale do serca nie bierze. Ksenia się z tłumu wydzielała tem właśnie, że brała do serca i mogłaby poniekąd powiadać o sobie: "Każdy ton jam stworzyła, wiem o każdym tonie." Mogłaby, gdyby należała do sfery społecznej, uprawiającej piękno w zakresie tej harmonji, której za materjał budulcowy służą tony. Zebrałaby te, co jej w słuchu brzmiały, uporządkowała i okrzyknięto by ją twórczynią. Tak zaś — ścigała marę nieuchwytną, wyglądając tego "kogoś", co jej matka przy krynicy na myśl nasunęła, "kogoś", co ten bezbrzeżny rozlew brzmień i dźwięków słyszy i wyrazi na ten koniec, ażeby jej powiedzieć: "Mam to, za czemuś goniła!"

Pod koniec babiego lata, śród rozlewu brzmień i dźwięków, o słuch jej potrącił dźwięk, niby prąd elektryczny, który ją,

porazit. Gdy w ciszy ~~...~~ nocnej zdaleka do niej doszedł, doznała drżenia rozkosznego w każdém istoty swojej włókienku. W tém oba uczucia urzeczywistniło się dla niej te szczęście, które stanowi cel dążeń i pragnień ludzi wszystkich razem i każdego z osobna. [Straciła na raz pamięć i pojęcie o wszystkiém i w duszy jej jedno tylko pozostało pragnienie. Chciałaby, ażeby to oba uczucia wydłużyło się w nieskończoność i w nią na wieki wieków wrosło. [Wydało się jej, że to nastąpi, brzmienie bowiem, płynące po rosie, czysto w orkiestrze natury przymilnie lało się strugą jak kryształ czystą, smętnej dumy ukraińskiej, granej na szpiłce.

Szpiłek odgłos rozlegał się często, wieczorami każdego. Zadowalniał on ją, zachwycał nawet ~~...~~, nie tak atoli i nie w tym stopniu, co obecnie. Nigdy nie wzbił się ~~...~~ on na wysokość prymna, jak ten, nie zapanował nad przelewającemi się tonów falami i nie wyraził się dźwiękiem takim czystym, rzewnym i szlachetnym.

Ksenia dech w sobie zaparła, słuchała, podnosiło ją, iść chciała na głos szpiłki, dochodzący od wierzchowin, gdzie lasem stały ocerety, gdy odgłos nagle się urwał. ~~...~~ Dziewczyna była pewna, że się rozmówi — nie rozmówił się. Na próżno na okopie do północy siedziała i czekała.

Wieczora następnego znów czekała naprożno.

Powtórzyło się to jeszcze kilka razy, aż nastały słoty jesienne i szpiłki umilkły.

(: Dokończenie nastąpi :) Teodor Tomasz Jeż.

~~[illegible]~~

(Dokończenie)

Umilkły sopilki a wraz z niemi i wszystkie instrumenta, co od wiosny, przez lato, do końca babiego lata, zmieniając stosownie do pory roku tony, nieustawały na chwilę w funkcjonowaniu swojém. Zamarły na porę zimową. Nie zamarła atoli sztuka, będąca dziełem natury i służąca za podnietę i pierwowzór ludziom. Manifestowała się ona w szemiących poświstach wiatrów, w huku burz, w poświstach, jękach i wyciach wichur, towarzyszących zamieciom śnieżnym. Dla ogółu mieszkańców Skałek wszystko one, jęczały, huczały, szumiały, dla Kseni — grały. We wsłuchiwaniu się w nie dziewczyna znajdowała rozkosz i znajdowałaby ją w pełni całej, gdyby jej nie brakło tego porywu, co z nad oczeretów wyszedł i dał i do powyżej jej przywrzał. Tej cudnej muzyki wspomnienia pozbyć się nie mogła. Prześladowało ją ono, dręczyło, niepokoiło i z ciepłej, zacisznej izby na mróz wypędzało.

— Czego szlakujesz?... — upominała ją stara matka.

Upominała ją również od czasu do czasu wedle roboty. Od czasu jak ~~[illegible]~~ wchłonęła w siebie tę ową szpilerankę, robota się jej nie imała. Z rąk jej padało, do czego się brała — zapominała się często. Niekiedy za przypiecku godzinę z kądzielą za pasem i wrzecionem w palcach siedziała, nie wyciągając nitki. Zmiana w niej zaszła wyraźna, zmiana, która na nią ściągała nietylko upomnienia, ale potajanki, szturchańce nawet.

— Pamiętaj sobie... — dogadywała matka. Będzie z

tobą źle... Makołon nie taki, żeby nierobić puszczał płazem... A u niego roboty będzie sporo, bo to i gospodarstwo i troje dzieci drobnych...

Innym znów razem Hrybycha ton zmieniała i wieczorami przy kagańcu, przędąc, wełnę skubiąc, albo szyjąc, opowiadała o wieczornicach, na których bywała nim za mąż poszła. Na wieczornicach małżeństwa się kojarzą. W ~~opowiadaniach~~ opowiadaniach tych jej ukrywała się ~~przeto~~ intencja, wystosowana do córki. Ona by wolała, ażeby Ksenia wydała się za parobka, niż żeby poszła na zastępczynię nieboszczki, co jeszcze żyła.

Kseni nie obchodził, ani Makołon, ani parobek żaden. Opowiadań matczynych słuchała, lecz ich do siebie nie brała; przez zimę całą noga jej na żadnej nie postała wieczornicy; gdy zaś zima minęła, obojętnie przyjęła wiadomość, którą Hryń przyniósł, że Makołonycha umarła.

— Umarła?... — podchwyciła Hrybycha, na córkę spojrzała i po cichu życzenie wiecznego spokoju dla zmarłej wyszeptała.

42a Ksenia na to nic nie rzekła. Zdawała się nawet, jakby nie dosłyszała zawiadomienia o zdarzeniu, które się jej bezpośrednio tyczyło. Zdawało się, jakby jej ono zgoła nie obchodziło. [Uwagę jej całkowicie zajmowały szumy potoków, trzask lodów pękających, szmery spływającej kry, szmery osuwających się śniegów. W te się wsłuchiwała co chwila i na każdą zmianę w przelewie tonów stawała z wyciągniętą szyją i otwartemi szeroko powiekami. [Na zmiany takie słuch jej stał się

czułym niezmiernie. Każdą w lot podchwytywała i karbowała sobie, rozpoznając ją następnie, gdy się w innej powtarzała kombinacji.

Makohonychę pogrzebano. W tydzień z czasem po jej pogrzebie, gdy śniegi zwiędły i wody spłynęły a ziemia się w zieleń i barwny strój poczęła, do słuchu Kseni, gdy przez podwórko przechodziła, wpadły tony skrzypki. Wzruszenia, jakiego z powodu tego doznała, opowiedzieć się nie da. Zrazu skamieniała, następnie biedz poczęła, biegła, dopadła okopu ogrodowego i zatrzymała się. Odgłos z innej, [illegible] po raz pierwszy, dochodził strony ode dworu. W stronę tę zwróciła się i słuchała, słuchała; granie ustało, ona słuchała jeszcze. Z długości czasu, jaki jej upłynął, sprawy by zdać nie umiała. Do chaty weszła dobrze z południa i, jak skoro próg świetlicy przekroczyła, przedstawił się oczom jej widok, którego się nie spodziewała. Rodzice przyjmowali gości, a goście byli dwaj gospodarze. Od pierwszego oka rzutu nie poznała ich; po chwili dopiero, gdy na przypiecku przysiadła, rozróżniła jednego od drugiego. Jednym był jej wujek, brat matczyn Tanas Zakolesnik, drugim świeży wdowiec, Toma Makohon. Siedzieli za stołem, na którym leżał chleb i stała flaszka z kieliszkiem obok. Toma prawił:

– Bo, żeby prawdę powiedzieć, ten grunt, to wiano i te dobra przyniosą pożytek, jeżeli z niemi przyjdzie niewiasta stateczna i pamiętna... Od latawicy pożytku się nie spodziewaj...

— Nie będziesz przecie wężem malowanym... — odezwał się Tanas. — Mąż, co na żonkę buczka nie żałuje, pociechę sobie gotuje...

— Ta... — odparł Toma. — Ono to, z jednej strony prawda, z drugiej nieprawda... Co mi buczek na nieboszczkę pomógł?... Wzięła taj umarła...

— Bo też marna była z dziecięctwa... A popatrz jeno na tę... niby mur dziewka...

Wskazał na Ksenię ręką. Toma nań wejrzenie zwrócił, okiem ją zmierzył i głową wstrząsnął.

Hryb siedział i milczał. Hrybycha miała na policzkach wypieki.

— Nie bez tego — ~~[illegible]~~ ciągnął Tanas — żeby matka nauki nie dała...

— Hm... — odparł Toma. — Ja nie od tego, ale od setki całej nie odstąpię... Ustąpiłem już pięćdziesiąt, więcej nie mogę...

— Ustąp jeszcze pięćdziesiąt...

— Nie... — odrzekł głosem stanowczym. — Targ idzie o cześć, a cześć ~~[illegible]~~ rzecz droga... Ja Hrybom daję ludzkie dla ich dziewki szanowanie, które się nie kupuje za lada co... o...

— Niech już tak będzie!... niech się to raz skończy!... — krzyknęła Hrybycha głosem drżącym i do głębi wzruszonym.

— Cóż ty na to?... — zapytał Tanas Hryba.

— A co!... — odparł zapytany. — Ma być tak, niech będzie tak...

— Ot i dobrze... Podajcież sobie ręce i zapij-cie na zdrowie ta na szczęście...

Na to swaszka stara chłop rękę przez stół do Makolona wyciągnął, Tamten złączone dło-nie przeciął — czarka w kolej poszła.

Ksenia, na przypiecku siedząc, wysłuchała ~~tej~~ pogróżnej rozmowy, jakby i ona jej nie tyczyła ani trochę. Z równąż obojętnością wysłuchała następnej rozmo-wy o terminy przysłania swatów, przyjścia z rę-cznikami i sprawienia wesela. Jej przyszły, wszyst-ko i ojcowie gwarzyli, gorzałkę popijali i chlebem zagryzali. [Matka milczała; policzki jej drżały, o-czy łzami sypały, od czasu do czasu wzdychała. Milczała i siedziała nieruchomie, i nie wstała, aż się izba z gości opróżniła.

— O wstyd!... o sromota!... — zawołała.

Ręce na piersiach skrzyżowała, do przypie-cka podeszła, przed Ksenią stanęła i w oczy jej patrząc, tak wyrazy cedząc mówić zaczęła:

— Toś ty i po zapłotkach włóczyła, po bezrza-nach tarzała i dziewiczą swoją cześć poniewierała?.. ~~poniewierała?~~ To ciebie ludzie latawicą przezwali?... To, gdyby nie twoje wiano, do którego jeszcze sto rubli dołożyć trze-ba ~~było~~, pies by ciebie wziąć nie chciał?... O! cze-muż ja ciebie, bezwstydnico, suko, gadzino, w kołysce rękami własnemi nie udusiła?... czemu-żem grzechem sromoty nie okupiła?... Trafił

się, trafił, dziękować wujkowi, mąż dla ciebie!.. Cha cha cha!... – ręka do góry podniosła i dłonią trzęsła. (Małżonek ci za mnie, ładawczyzną, odpłaci!..

Plunęła i zaszła.

Po scenie tej Ksenia się wypłakała i przez dni kilka najgorszych była, siły nie swoja. Dla matki, jakby nie istniała. Hrybycha jej pomocy, ani usług nie przyjmowała żadnych i unikała z nią rozmowy. Nie mogła też powstać bez wystąpienia na dziewczynę. Zgryzota jej w oczach się malowała i trawiła ją tém mocniej, że ani się usprawiedliwić, ani pociechy znaleźć nie mogła. W razach utrapień wielkich szukanie pociechy przychodzi samo przez się, jako obrona przeciwko rozpaczy. Kseni rozpacz zagrażała, oznajmiając się z góry rodzajem głuchego w duszy huczenia. Oglądała się, nasłuchiwała, azali co takowego nie zgłuszy, a przynajmniej nie złagodzi. Szukała i znalazła.

Skrzypiłka się odezwała.

O! z jakiemże ją ona powitała uniesieniem.

Odezwała się wieczorem, tak jak dawniej i w tej samej co dawniej stronie – przy ocieretach, nad stawem.

W słuchaniu jej Ksenia utonęła całkowicie. Słuchając usnęła na okopie. Sen ją zaniósł do raju, z którego na ziemię zeszła po to jeno, ażeby się doczekać wieczora i znów kosztować rozkoszy, przynoszącej pociechę.

Powtórzyło się to wieczorem następnego i znów na-

stępnego i raz jeszcze następnego. Z powtarzania wyro-dziło się pragnienie zbliżenia się do tego kielicha rozkoszy i przyłożenia do brzegów jego ust.

Czwartego wieczora Ksenia sama nie wiedziała, jak to się stało, że się znalazła na łące i przysiadła tuż obok szpilkarza. ~~któremu~~ Obecność jej nie przeszko-dziła ona w czekaniu na echa tonów instrumentu, pokre-wnego fletniom starożytnym. Grał dalej i, gdy po nie-jakimś czasie szpiłkę od ust odjął, ona się odsunęła. Zagadał na nią — nie odpowiedziała. Wyrazy, które wy-mówił, tak na nią wywarły wpływ, że się zerwała i z sił całych przez pola uciekać poczęła.

Następnej nocy znów przyszła i znów przy-siadła.

Szpilkarz ją tym razem uraczył. Zmieniał sztuki tęskne na wesołe, wesołe na tęskne, wydo-bywając z instrumentu nieznane jej nuty pieśni takich, jak: "Wijut witry, wijut buini", "Za toboju nad Worskłoju", "Nikto ne wynnen tilki ja", "Sim deń mołotyła, dzeń dzeń zarobyła" i t.p. Dziewczyna rozkoszowała: raz się śmiała, znów w zadumie smętnej słuchała. Sztuka jedna w taki ją wprawiła zachwyt, że, gdy grajek skończył, za rękaw go pochwyciła i do ręki jego ustami przy-lgnęła. Całowała jego ręce, uczepiła się nawet do nóg i bose jego nogi pocałunkami okrywała.

Szpilkarz rąk jej nie bronił, lecz nogi pod

nią umykał; że jednak się ona do nich przemocą garnęła, pochylił się, w pół ją ujął, podniósł i do piersi przycisnął. Dziewczyna do niego przylgnęła. W przylgnięciu tem, zdawało się, że omdlała i na wolę się jego oddała. Tak się zapewne wydało jemu, zachciał bowiem dopuścić się nadużycia woli. Sprzyjały temu: odludne ustronie, noc ciemna i dziewczyny zachwyt wprawiający ją w stan upojenia bezpamiętnego. To ostatnie atoli zawiodło. Ksenia się nagle szarpnęła, wydarła i z upojenia, co ją przed chwilką obezwładniało, wpadła we wściekłość, która ją w furię zmieniła. Na grajka się z zaciśniętemi rzuciła pięściami. Zawiązała się pomiędzy niemi samowtórna bójka, w której skrzypkarz starał się zrazu przeciwniczkę, bez oddawania jej za razy razami, ująć, opanować i upodleglić. Lecz, [illegible] [illegible], począł się jej odwzajemniać kułakami za kułaki, bronił się i nastawał, zadawał uderzenia na oślep i, przemagany przez nią, zawołał:

— Czego ty chcesz!... odczep się!...

Na te słowa, Ksenia odskoczyła, cofnęła się i znikła w ciemnościach.

Nazajutrz matka, zeszedłszy się z nią rano, jak skoro na nią okiem rzuciła, krzyknęła głosem przerażenia:

— Gołąbko ty moja!... Ach, pobladłaś jakaś!... Gdzieżeś ty się tak ubrała?... A toć dziś swaty przyjdą!... Jakże ty się im pokażesz z oczami

podbitém?... Któż-ci tak dogodził?...

Kto? – Ksenia nie wiedziała. [Szpilkarza nie znała i ani jej na myśl przychodziło: kto on i skąd. Po dniu oblicza jego rozpoznać by nie umiała. Mogła o nim tyle jeno powiedzieć, że miał na sobie czerwoną drewnianą i nie miał obuwia na nogach. Obchodził ją nie on, ale jego zranie. [O nim nic nie wiedziała i wiedzieć nie chciała: dowodem sińce pod okiem i siniców parę na ciele, świadczących, że go odepchnęła, gdy jej zamiast zranienia narzucić siebie zachciał, sprowadzając przez to stosunek jej do osoby swojej na poziom cielesności, której w sobie nie odczuwała, którą w niej uśpiły i zgłuszyły poczucia i pożądania estetyczne.

Matka potajemnie obelgą ją obłała, od ojca ukrywszy tę tajemnicę; i z tajemnicą ten wypadł rezultat, że, dla oszczędzenia wstydu najgorszego bo przedwieczornego, przyjąć swatów odmówiła pod jakimś pretekstem zostania do czasu, aż Ksenii sińce z pod oka zejdzie.

Zabrało to dni kilka.

Przez ten czas Ksenia w komorze siedziała, przykładając do oka płatki mokre i nie pokazując się ludziom. Wychodziła późnym wieczorem i sobie do szałasu matki słowo swe, zaraz wracała.

Wychodząc, nastawiała ucha, łowiła uchem odgłosy, – szpilki ci odzywały, ale milczała ta do której dusza tęskniła. [Milczała pierwszego, drugie-

go i trzeciego wieczora. Wreszcie się odezwała. Tony jej dźwięczne, rozgłośne, kryształowe, szlachetne, uroczyste znów zabrzmiały w powietrzu, dalej jeno jak wszelkie. W pierwszej chwili przeraziły ją one. Przyszła jej ochota ucieczki, schowania się w komorze i zatkania sobie rękami uszów. Lecz siła jakaś nieprzeparta powstrzymała ją — powstrzymała najprzód, następnie iść, dalej biedz kazała. Minęła ogród, przeszła przez okop, wydostała się w pole i szła wprost przed siebie na odgłos szepitki, szła, potykała się, padała, wstawała, pośpieszała, nie patrząc pod nogi, nie ~~[illegible]~~ patrząc ~~[illegible]~~ przed siebie, ni pomna na nic. Szła bez drogi.

Na linii prostej, którą podążała, rozlegały się zasiane pola, świeżo zorane role, nie wyschłe kałuże i przylegające do stawu łąki. Ksenia nie zważała na nic. Dla niej w chwili tej istniało na świecie jedno tylko: te granie, co ją uwlokło, przez pola, role, kałuże, łąki prowadziło i zaprowadziło w staw, albowiem brzmiało po drugiej stronie.

Woda jej nie ~~powstrzymała~~ opamiętała. Co tam woda! Ją prowadziła — wiodła siła, której bez namysłu bezgranicznie zaufała. Jak, dzięki sile onej, nie czuła pod sobą ziemi, tak nie poczuła # wody. Z brzegu machinalnie podkasała się; gdy jednak woda do pasa sięgnęła, podołek opuściła i poszła dalej. Szła póty, aż grunt pod stopami straciła, spłynęła, zanurzyła się i — znikła.

+ +

+

go i trzeciego wieczora. Wreszcie ją otrzymała. Tony jej zabrzmiały w powietrzu dźwięczne, ~~ostre~~ dostojna, kryształowe, szlachetne, uroczyste. W pierwszej chwili przeraziły one Ksenię

We dwa dni później znać dano do władzy wiejskiej, że przy grobli, wedle upustu, pokazała się topielica. Władza wartę postawiła i do powiatu zawiadomienie posłała. Zanim śledztwo zjechało, ludzie przychodzili, zatrzymywali się, spoglądali i powiadali:

— Żałośnica... dolatała się...

Zachodziło pytanie, czy się utopiła umyślnie, czy też przypadkiem. Śledztwo kwestyę tę na rzecz samobójstwa rozstrzygnęło, opierając się na zeznaniach rodziców, tyraństwie zamierzonego małżeństwa, do którego niebożątka wstrętu nie okazywała, ale — zdaje się — ochoty nie miała!

Prosimy dla niej czytelników o westchnienie.

Ksenia padła ofiarą estetycznego poczucia sztuki, mającej na tych nizinach społecznych, na których urodziła się i wyrosła, (swój początek, przyczyny, podniety się i wzory) — w naturze.

Ileż to na nizinach owych ofiar takich pada!..

Teodor Tomasz Jeż.